

O_KAZ

Literatura o Kazimierzu, vol. 2

No5

WIT SZOSTAK

WIT SZOSTAK

KAZIMIERZ I GŁOSY

Zbieram głosy, które ludzie gubią.
Głosy niechciane nie gubią się
przypadkiem, ktoś je porzuca i ucieka.
Pomiędzy przemilczeniami i napomknieniami
mówią o życiu, o jego sprutej podszewce.
Te głosy nigdy nie doszły do głosu,
zdlawiono je i mogły ujawnić się tylko na
chwilę w geście, grymasie, westchnieniu.
Opowiadają o tym, co ukryte. Czasem
chcą krzyczeć i przekrzyczeć ból,
czasem tylko żalić się długo i nudno.
Niektóre chcą, by pozwolić im milczeć,
chrząknąć i przeprosić.

WIT SZOSTAK

Są pełne furii, zakłopotania, skrzekliwe i gderliwe, rzadko piękne i dźwięczne. Na ogół nie są ciekawe, powtarzają te same słowa i koleje losu; nudzą. Czasem tylko kryją wartość tajemnicę.

Umiem słuchać, zbieram je wszystkie. Ludzie myślą, że się ich pozbyli jak zmiętej wizytówki czy paragonu z taniego hoteliku. Ale zdławione głosy nie znikają. Umiem słuchać, wyłapuję najcichsze tony i zbieram je w sobie. Pozwalam im rozmawiać, choć rzadko używają słów. To raczej intonacje i szemrania, monotonne zawodzenia lub pokasywania. Z ich melodii dowiaduję się całych historii, one prowadzą mnie i moje palce. Dają im życie, którego od was nie dostały. Potrafiłiście tylko odmówić. Odmowa to dobre słowo na porzucenie głosu. Ale głos, który się już narodzi, powinien wybrzmieć, w to wierzę. Więc szukam dla nich ujścia, szukam nowych sposobów życia, skoro wy nie pozwoliliście im żyć normalnie. Nie dostały słów i waszej mowy. Dla was są półgłosami. Ale może to dzięki mnie dostaną obietnicę prawdziwego życia?

Nie znacie mnie, choć mijaliście mnie wiele razy. Byłem cieniem przy ścianie, którego się nie zauważa. Znam wasze twarze, niektóre widuję codziennie. Mijali mnie ludzie, dla których nie istniałem. Ale ja tam byłem, kiedy spacerowaliście ulicami Józefa, Szeroką i Wąską. Byłem na Estery i Izaaka, na Miodowej i Brzozowej, byłem na placach i w zaułkach. Wszędzie tam, gdzie chcieliście zgubić część siebie, odmówić sobie czegoś ważnego. Gdybym teraz stanął naprzeciw, nie rozpoznalibyście mojej twarzy. Może sięgnęlibyście do kieszeni, w tym wiecznie poirytowanym geście poszukiwania drobnych. Niewiele tracicie, rzucając ulicznemu grajkowi bilon. Tak zapewne myślicie, zapominając o całym zdarzeniu po kilku krokach. Ale wraz z monetami, rzucającymi zniecierpliwionym gestem, nie patrząc mi w oczy i odwracając wzrok, gubicie coś innego. Coś, co i tak was dopadnie, bo ja umiem słuchać i nie zapominam.

Czy zdarzyło się wam słyszeć niepokojący głos saksofonu, kiedy piłiście espresso w kawiarnianym ogródku czy dyskutowaliście o czymś

zawzięcie przed drzwiami muzeów i synagog? Czy dziwne, obce dźwięki nie dosięgły was kiedyś, pochylonych nad talerzami pełnymi wyrafinowanego jedzenia, w restauracjach polecanych przez najlepszych recenzentów kulinarnych? Nie znaliście tej muzyki, ale kłuła was i drażniła, trzęcała struny, które bolały i niepokoiły. Dźwięki mogą dotykać tylko przez krótki czas, szybko cichną. A wy odzyskiwaliście spokój i wracaliście do przerwanej kawy i posiłku, wmawiając sobie, że to przesłyszenie. Przesłyszało się wam, że ktoś poznał wasze tajemnice, że uchwycił w jednym akordzie jakiś cichy dramat lub wstydliwą historię. Teraz nie możecie powiedzieć już, że to przesłyszenie. Te dźwięki nie poskładały się same w szyfry waszego życia. Ktoś je wydobył z instrumentu, poukładał palce, złożył wargi do zadęcia i dał im głos.

I to byłem ja, Kazimierz, uliczny grajek.

*

Nie chodź na Kazimierz, stamtąd ludzie nie wracają. Tak mówiła matka, kiedy byłem dzieckiem. Zawsze miała w oczach niepokój, jakby ostrzegała mnie przed czymś poważniejszym niż tylko możliwość pobicia. Ale jej słowa niepokoiły mnie podwójnie, w przestrodze było moje imię. Nie chodź na Kazimierz, Kaziu. Dla mnie to nie była nazwa dzielnicy, każda nauczycielka wyrывała mnie tym słowem do odpowiedzi. Zawsze brzmiało jak ostrzeżenie, nie chodź tam, syneczku.

Baliśmy się Kazimierza, jego wietrznych ulic i odrapanych kamienic. Było coś martwego w tej części miasta, którą mijaliśmy, jeżdżąc tramwajami z Podgórze do Rynku. Czytaliśmy wyblakłe szyldy szewców i kaletników, rezerwat ginących zawodów upchany w kłitkach i oficynach.

W klasie mieliśmy koleżę z Kazimierza, powtarzał rok i dobrze się bił. Siedział w ostatniej ławce, zawsze w prujących się swetrach, i przez całe lekcje pokrywał strony zeszytów maleńkimi postaciami, które wpadały na siebie, goniły się i uciekały. Te komiksy bez słów

WIT SZOSTAK

powstawały w ukryciu, zasłaniał swoją pracę łokciem. Był wyższy od nas, już się golił; jąkał się, wyrwany do odpowiedzi. Zniknął w połowie roku szkolnego. Po prostu pewnego dnia nauczyciele przestali wyczytywać jego nazwisko, dopisane na końcu poza alfabetem. Pamiętam, że najpierw zauważyliśmy brak na liście obecności, a potem dopiero samą nieobecność. Nie pamiętam dziś jego imienia. Wtedy nie umiałem jeszcze słuchać.

Mieszkałem na nowym osiedlu, wiele przystanków od centrum. Na Kazimierzu byłem wcześniej dwa razy, zawsze z ojcem. Raz przypadkiem, ojciec zamówił ramę do obrazu czy jakiś stolarski element, nie pamiętam. Wysiedliśmy przy Miodowej, jadąc w inne miejsce. Pamiętam wysoką, chłodną pracownię i starszego człowieka w granatowym fartuchu. Pachniało trocinami i klejem, okna były wysoko nad podłogą, a wszędzie wokół pełno było desek i mebli. Drewniana podłoga była zniszczona, pod ścianami stały maszyny o nieznanym mi przeznaczeniu. Były szare i pachniały smarem. Stary człowiek był łysy i nosił mocne okulary. Tyle pamiętam. Stałem zagubiony między krzesłami, ojciec załatwiał coś ze stolarzem, pożegnali się i wróciliśmy na przystanek. Pojechaliliśmy dalej. Co zamawiał? Czy pamiętam, co to było?

Drugi raz ojciec zabrał mnie do Muzeum Etnograficznego. Pamiętam gabloty pełne pisanek i surowe panie, napominające, bym nie dotykał ludowych instrumentów. Był chłodny dzień, po zwiedzeniu muzeum spacerowaliśmy nieznanymi mi uliczkami. Ojciec mocno trzymał moją dłoń, para szła nam z ust. Bramy były nieprzyjazne, podwórka głębokie. O czym wtedy opowiadał ojciec? Pamiętam tylko pisanek.

*

Dziadków miałem dwóch. Józia lubiłem, a Franka nie.

Dziadek Józio był przeuroczy, kochali go wszyscy. Stawiał śmieszne, drobne krocзки, stukając laseczką, przystawał na każdym półpiętrze

i mówiąc, poruszał kłębami białych brwi. Wydawało mi się, że odleczę z kolejnym słowem dziadka. Kiedy przychodziliśmy na niedzielny obiad, siadaliśmy na podłodze wokół jego fotela, a on opowiadał prawdziwe i zmyślane historie. W kuchni mama z babcią kroił makaron i szumowały rosół, a dziadek Józio opowiadał o dziwnych czasach i stronach. Żył przed wojną i był za granicą. Przedwojna i zagranica to były obszary baśniowe, rewiry niedostępne i pełne mitycznych zdarzeń. Wiedzieliśmy dobrze, że nigdy tam nie trafimy. Pomiedzy opowieściami o przedwojennych serdelkach i pełnych półkach supermarketów pojawiała się jedna, powracająca, choć niewypowiedziana do końca. Czasem dziadek Józio, raczej przy stole niż w fotelu, wspominał z rozrzewnieniem młodość. Przed wojną to się goniło Żydów z laseczką, oj goniło, wyznawał zarumieniony, wznosząc kolejny toast nalewką orzechową, która pomagała na trawienie. Brwi uciekały mu wysoko, kieliszek tańczył ponad głową, a ja widziałem znad sztuki mięsa zażywnego staruszka, który drobnymi kroczkami biega przedwojennymi uliczkami, wymachując laseczką.

Dziadek Franek był surowy, tu nie siadaj, stań tam, tego nie dotykaj, wyprostuj się, kawalerze; przyniesiesz dobrą cenzurkę, myślisz nad wyborem zawodu, młody człowieku? Pochylał się wtedy nade mną i braćmi, zakładając dłonie za plecy. Był długi i kościsty, błyskał łysiną i surowo groził palcem. Nigdy nie zdrobnił mojego imienia. Zostało mi po nim tylko kilka gestów i zdjęcia, zrobione zresztą wiele lat przed tymi przesłuchaniami. Później unikał aparatu. Baliśmy się go i raczej omijałyśmy. Kiedy przychodził do nas z babcią Genią, rozsiadał się w fotelu i kazał sobie podawać gazetę. „Tygodnik Powszechny”, bardzo dobrze, mówił, otwierając wielką płachtę. I zawsze, już zakryty szpaltami, wygłaszał to samo zdanie: przed wojną z panem Turowiczem byliśmy razem na wykładzie Martina Bubera, wtedy Kazimierz był zupełnie inny. Nie do końca rozumiałem, dlaczego przed wojną byłem zupełnie inny, skoro mnie wtedy zupełnie nie było.

WIT SZOSTAK

A przestańże już o tym Buberze, ciągle tylko Buber i Buber, machała rękami poirytowana babcia Gienia. Ale byliśmy z panem Turowiczem, kończył niepewnie dziadek zza gazety i topił się w lekturze. Nie rozumiałem irytacji babci, podobnie jak nie rozumiałem, że wtedy Kazimierz był inny. To były gesty dawnego świata, enigmatyczne bez znajomości kontekstu, który przeminął. Godziłem się na to, że mam dostęp tylko do okruchów. Rytualna uwaga dziadka Franka i celebrowanie irytacji babci Gieni towarzyszyły każdej wizycie. Nasz niewielki duży pokój był sceną tego dramatycznego spięcia, które wyrwało się poza kontekst i sięgało ukrytych korzeni.

Nie wiem, czy to podsłuchałem, czy zmyśliłem, ale wiele lat później, kiedy dziadek Franek już dawno nie żył, babcia Gienia opowiadała mojej mamie konspiracyjnym szeptem, że przed wojną na wykładzie Martina Bubera dziadek poznał dziewczynę o sarnich oczach. To była jego pierwsza miłość, babci jeszcze nie znał. Czy to było jedno przelotne spotkanie, obudowane siecią marzeń niemożliwych do spełnienia, czy też tamto zdarzenie miało jakieś konsekwencje, tego nie wiem. Nie wiem, czy wiedziała babcia. W opowieści nie przetrwało nawet imię dziewczyny o sarnich oczach. Czasem tylko dziadek, jak szeptała po latach babcia, wdychał na spacerze na widok podobnej urody i rzucał kilka zdań wyjaśnienia. Nie było w głosie babci zazdrości ani żalu, raczej jakiś nieokreślony smutek. Miałem wtedy kilkanaście lat i po tym chyba już lepiej rozumiałem irytację frazy: ciągle tylko Buber i Buber.

Kiedy zacząłem już grać na ulicach Kazimierza, przyszło mi do głowy, że swoim graniem ściągnę tu dziewczynę-sarnę. Że przyjedzie z wycieczką, ze Stanów Zjednoczonych lub z Izraela, że będzie elegancką starszą panią, pełną wspomnień i smutku, która na dźwięk mojego saksofonu przypomni sobie kawalera przyglądającego się jej podczas odczytu Martina Bubera.

To były inne czasy, wszystko było inne. Dziadków się słuchało i o nic nie pytało. Teraz mam tylko strzępy wspomnień i moje

ówczesne wyobrażenia. Wtedy nie potrafiłem na przykład wyobrazić sobie, że dziadek Józio był kiedyś młody, nie miał problemów z nogami i studiował na uniwersytecie. A kiedy wiele lat później dowiedziałem się, kim był Martin Buber, dziadka Franka już nie było, by go zapytać o tamten wykład. Słyszę tylko ich głosy, które wielokrotnie powtarzałem sobie w głowie, aż stały się moimi. W myślach naśladowuję suchy głos dziadka Franka, który jest moim głosem, i zaflegmione gawędy dziadka Józia, który przemawia tak jak ja. Czy jest w tych głosach choć ślad ich samych?

Obu dziadków dawno nie ma.

*

Bałem się Kazimierza i nie przypuszczałem, że to właśnie tu będzie toczyć się moje życie, toczyć po ulicach i zaułkach, staczać z klatek schodowych i wtaczać do piwnic. Moje życie było tu wszędzie, przyłgnęło do miejsca, którego się bałem. Spałem po bramach i piłem po knajpach. Całowałem się w kruchtach i spacerowałem uliczkami, na których do dziś potrafię się zgubić.

Myślę, że stałem się dorosły w Buryim Borsuku, którego od lat już nie ma. Kiedy klub padł ostatecznie, lokal przez rok stał pusty. Zaglądałem przez brudne okna w głąb, usiłując odtworzyć układ stołów. Ale zamiast niegdysiejszego gwaru widziałem tylko zakurzone deski podłogi i ślady na ścianach po portretach jazzmanów.

Czasem, idąc Podbrzeziem, wyobrażam sobie, że słyszę muzykę z Burego Borsuka. Siadam naprzeciwko, palę papierosa i czekam, aż wyjdą dawni przyjaciele.

Najpierw chodziłem do klubu pić i słuchać. Słuchanie chyba przyszło później, z początku muzyka przeszkadzała. Rozmawialiśmy o grozie istnienia, szukaliśmy odpowiedzi na wieczne pytania i wierzyliśmy naszymi studenckimi umysłami, że je znaleźliśmy. Rzeczy zyskiwały sens, prawda nie wymykała się, panowaliśmy nad wszystkim. Piło

WIT SZOSTAK

się jasne pół na pół z porterem, przekrzykiwaliśmy muzyków, a na scenie działy się rzeczy straszne. Saksofony skomlały i wyły, perkusja wprawiała szklanki z piwem w drżenie. Świat trzeszczał w szwach, a myśmy opędzali się od dźwięków, pochłonięci dyskusją.

Przyjaciele z tamtych dni spierają się ze mną, że zmyślałam. Ale ja wiem, że tak było naprawdę. W jednej z sal Burego Borsuka stało w kącie łóżko. Zawadzało, dwa stoliki tłoczyły się przy przeciwległej ścianie. To łóżko, stare, z metalową ramą, zawsze mnie niepokoiło. Wyobrażałem sobie, że wstawiono komuś knajpiane stoły do domu i zaproszono gości, a on nie zdążył nawet wynieść swoich mebli. Czasem w kłębach dymu, którym wypełnialiśmy pomieszczenia klubu, widziałem na kilka chwil przed zamknięciem lokalu postać zwiniętą na łóżku. Czasem wydawało mi się, że budzi się i siada niepewnie na brudnym materacu, skrzypiąc starymi sprężynami. Wiem na pewno, że raz usnąłem na nim sam, nakryty płaszczem, kiedy życie i piwo przytłoczyły moją wątłą osobę.

Nie było żadnego łóżka, mówią mi dawni przyjaciele, nie było nigdy, nie tu.

Ale to tu po raz pierwszy miałem saksofon w rękach, kiedy już zacząłem słuchać i odważyłem się poprosić jednego z muzyków: daj potrzymać. Siedział zmęczony na stopniu sceny i przyglądał mi się ciekawie, gdy walczyłem z kłapami. Przetarł ustnik, założył świeży stroik i powiedział tylko: dmuchnij. Zaskrzeczałem, a on pokazał mi, co mam robić. Odtąd chodziłem na każdy koncert i jam, a w domu ćwiczyłem zaciekle, katując rodzinę i sąsiadów. Zarabiałem niegodnymi zajęciami i w końcu kupiłem starego conną.

W Burych Borsuku grał każdy, kto się liczył. Byli Vandermark, Gustafsson, Brötzmann, Moondoc, był nade wszystko Trzaska. Tu grali bogowie wolnej improwizacji, prorocy i heretycy, wieczni schizmatycy i apostaci. Tu było wszystko. Tu zacząłem słyszeć głosy i zagrałem pierwszy raz na scenie. Tu poznałem Izę, kiedy jeszcze była

barmanką, i po raz pierwszy tuliliśmy się między kegam na zapleczu. Tu była czułość, szeptane rozmowy, łzy i pożądanie. Działy się różne rzeczy i toczyły sprawy. Tu było tak wiele, że prawie wszystko.

Tam, nie tu. Burego Borsuka od dekady nie ma.

Moje tu jest ulicą, czyli nie jest miejscem. Nie mam swojego tu, nie mam go od lat.

*

To wszystko było, naprawdę lub w zmyśleniu. A teraz jest teraz. Obrazy z przeszłości szarzeją, stoję na ulicy i gram do ludzi, którzy mnie mijają. Nikt nie ma drobnych, odwracają wzrok i uszy, gubiąc swoje półgłosy. A ja się po nie schylam. Nic nie ginie.

Dziś nie jestem już pewien, dlaczego odszedłem z Burego Borsuka. Miałem tam wszystko. Przyjaciół, muzykę, uznanie, na które wcześniej nawet nie liczyłem. Student antropologii kulturowej, amator, kiepski saksofonista. Zapraszany do różnych składów, akceptowany, cierpliwie nauczany, chyba lubiany. Wiedziałem, że nie będę gwiazdą, ale cieszyłem się, że mogę uczestniczyć w tym, co się tam działo. I gdybym miał porzucić to wszystko, co wiązało się ze sceną, tremę, kiksy, bezlitośnie wytykane przez kolegów, trans, zatracenie w muzyce, to nigdy bym tego nie zrobił. Ze sceny, pocąc się nad swoim poobijanym connem, patrzyłem na widownię, która tylko słuchała. Ktoś się kiwał, ktoś taktował, parę dziewcząt zawsze tańczyło między stolikami. Ale oni byli za szybą, podglądali nas, podsłuchiwali, sami bezpiecznie umoszczeni na krzesłach i fotelach. Czuli z nami jedność, wiem, że czuli, sam czułem, kiedy byłem po ich stronie. Na scenie wiedziałem jednak, że jedności nie ma. Jest muzyka, ona jest wspólna, ale to my wędrujemy jej bezdrożami, to my błędzimy i ryzykujemy. Oni się kiwają, popijając piwo. Ryzykujemy za nich, świat się tylko kiwa.

Nie zamieniłbym się, nie wróciłbym na widownię. I nie chodzi o tych kilka płyt, na których jestem, trochę przypadkiem, nie chodzi

WIT SZOSTAK

o te koncerty i jeden afisz, który noszę zwinięty w futerale z instrumentem. Nie chodzi o to wszystko, co na zewnątrz, zresztą nie zdobyłem nigdy sławy i wcale mi się nie należała. Po prostu wiedziałem, że muszę grać. Kiedy usłyszysz głosy, nauczysz się ich nasłuchiwać, nie możesz przestać. One nie pozwalają.

I dlatego musiałem odejść z Burego Borsuka, choć kochałem to miejsce, tych ludzi. Ale tam odkryłem muzykę, a ona nauczyła mnie bezdomności. I porzuciłem dom. Odmówiłem sobie domu, zagubiłem drogę do niego. Pogubiłem się w świecie i w mieście, którego się bałem.

Teraz zbieram cudze głosy. Mijają mnie ludzie, a ja ich chwytam w moją muzykę i nazywam ich własnymi imionami. Mój saksofon cicho zaczyna śpiewać ich tajemne pieśni, szukając głosów, które sami zgubili.

Wiem, co sobie myślicie. Widzicie Kazimierz oczami przewodników. Pełno turystów, mieszanina języków, wieża Babel; pobożni Żydzi, młodzi i starzy pielgrzymi do miejsca, które im zabrano; zaciekawieni obcy, poznający lokalny folklor, złąknieni dobrego jedzenia i nocnego życia; gromady młodzieży poszukujące kultowych miejsc i martwe dusze wyglądające zatracenia przed kolejnym tygodniem pracy. Nimi krzyczy Kazimierz do białego rana, dla nich wymyślono lokale i potrawy. To ludzie zbierający pamiątki, jednym wystarczy srebrna łyżeczka z zagubionej zastawy, inni wolą wspomnienie czworonożnej wędrówki mokrymi ulicami.

Pewnie sądzicie, że wyłapuję z tego tłumu postaci typowe, łatwe do spuentowania muzycznym motywem. Widząc chasyda, gram *Nagila Hava*, a szukającemu klina Irlandczykowi podrzucam *Rocky Way to Dublin*. To byłoby proste, imitacja zewnętrżności, sądzenie po pozorach. Ale jeśli tak sobie wyobrażacie moją muzykę, to nic nie wiecie. Nie interesuje mnie strój ani wygląd, nie szukam prostych przełożeń. To zadanie zawodowych wodzirejów.

Ja robię coś zupełnie innego.

*

Lepię.

Lepię muzykę.

Muzykę z głosów.

Głosy przynoszą mi ludzie.

Sami o tym nie wiedzą.

Mijają mnie, nie patrząc w oczy.

Owijam się wokół porzuconych przez nich tonów.

Mozolnie z dźwięku na dźwięk buduję nową mowę.

Każda mowa ma swoje słowa i zasady innym nieznanne.

Każda mowa tworzy własny świat i po swoim nazywa rzeczy.

Dźwięki pęcznią mi pod palcami, krążę wokół nich, chcąc je zrozumieć.

To wcale nie są znane wszystkim melodie i wpadające w ucho tematy.

Każda mowa jest tworzeniem nowego świata, ponownym stwarzaniem go z okruców i śmieci.

Pluję w saksofon i swoją śliną lepnię te dźwięki, chcąc mozolnie odczytać puste miejsca.

Pomiędzy tymi kilkoma porzuconymi dźwiękami są puste przestrzenie ludzkiego losu, napięć i strzępów potarganych emocji.

Moje zadanie to znaleźć nikłe odciski śladów, które pozwolą odtworzyć melodię, jakiej nikt wcześniej nie wyśpiewał.

Dlatego wołam mówić o półgłosach i odmowach, bo to wszystko strzępy, okruchy naczyń, które nigdy nie powstało.

Owijam się mozolnie, lepnię z okruców, więcej mojej śliny niż cudzej gliny, ślina kapie na chodnik, chodnik chłonie.

Za dużo metafor, metafory zwodzą, ale mam tylko słowa, bo opowieść nie udźwignie muzyki, muzyka jest ponad wszystkimi szczytami.

WIT SZOSTAK

Przeważnie błędę, półgłoty odmawiają dostępu, ich mowa mi umyka, na nic moja ślina, oddech i przebieganie palcami, gram puste dźwięki.

Jednak czasem udaje mi się znaleźć mowę, moje owijanie się lepi półgłoty w głos, który wybrzmiewa czysto i wraca do przechodnia.

*

Tak to wygląda, choć muzyka nie wygląda i nie potrafi nawet wyglądać. Ale jeśli można opowiedzieć o tym, co poza słowami, jeśli można zgodzić się, że słowa jakoś wypowiadają to, na co ich nie stać, na co są za ubogie, to moje granie jest lepieniem i owijaniem. I tak praktykuję moją bezdomność, choć mam poza Kazimierzem dom i mam Izę, i mam małego Franka i małego Józia. Tam mam życie, tam je pędzę i doganiam, ciągle spóźniony, zabiegany, przychodzący nie w porę. Tu, na ulicach Kazimierza, wędrując niezauważenie między grupami turystów, tułam się, dorosły Kazimierz, zbieram głosy i coś chcę opowiedzieć. Zараbiałbym więcej, gdybym grał znane melodie. Ludzi zatrzymują znane melodie, przykuwają, znane melodie każą im sięgać do kieszeni. Moje lepienie półgłosów nie ma łatwego życia. Jest jak cicha skarga żebraka, który za instrumentem chowa swe żebractwo. Wywołuję litość i zakłopotanie, wieczna irytacja sytych siebie turystów. Nie ma mnie na pocztówkach i w przewodnikach, ciche meleksy mijają mnie, nawet nie trąbiąc. Uskakuję w kałużę, wędrując ze swym starym connem. Ma ponad siedemdziesiąt lat i pamięta wojnę, choć chyba nie brał w niej udziału. Zrobiono go za oceanem w czasie, kiedy Amerykanie nie przeznaczali jeszcze całej stali na czołgi i karabiny.

*

Szukałem dziewczyny o sarnich oczach w każdej staruszce, która mnie mijała, spacerując wolno pomiędzy odnowionymi synagogami i szukając śladów swego życia.

Wywoływałem ją z tłumy turystów na wszystkie muzyczne sposoby, jakie znałem, wypuszczając przed siebie kaskady dźwięków, które gromadziłem przez lata.

Wiedziałem od samego początku, że nigdy jej nie spotkam, że od dawna nie żyje, bo nie miała prawa przeżyć.

Czułem, że była zbyt piękna, by zapamiętać mojego młodego dziadka, który nosił w sercu jej wspomnienie do śmierci.

Chciałem bardzo, by stuletnia kobieta na wózku, która kazała opiekunowi przystanąć przede mną na chwilę, była nią.

Wierzyłem, że wypicie kilku łyków wody mineralnej było jedynie pretekstem, by usłyszeć echo westchnień dziadka Franka.

Odprowadzałem ją wzrokiem, kiedy jej wózek toczył się cicho do klimatyzowanego autokaru, który niebawem ruszył.

Grałem głośniej, by dźwięki ją dopadły, by wbiły się w uszy i przywołały wspomnienia.

Zgrałem się do cna tymi nieszczęsnymi poszukiwaniami, roztrwoiłem niemal wszystkie zbierane latami głosy.

Straciłem zupełnie nadzieję i grałem coraz ciszej i oszczędniej, wając każdy dźwięk.

Zobaczyłem ją pod koniec, gdy każdy dźwięk był na wagę złota.

Ujrzałem jej sarnie oczy, jej młodość i ciche, dyskretne piękno.

Zagrałem tylko dla niej, owijając ją szczelnie swą muzyką.

Spotkałem jej spojrzenie, a ona westchnęła i odeszła.

Przestałem grać, zwinąłem całą muzykę i ruszyłem.

Szedłem po śladach jej gubionych głosów.

Podziwiałem jej lekki, rozkołysany chód.

Zbliżałem się, wstrzymując oddech.

Wołałem ją niemo.

Byłem blisko.

Zniknęła.

Kraków, wrzesień 2017

O_KAZ

Literatura o Kazimierzu, vol. 2

Literackie portrety miast lub dzielnic to nie tyle dokumenty, zdające sprawę z historii danego miejsca, ile bardziej teksty stwarzające klimat. Miejska fikcja pozwala lepiej zrozumieć przestrzeń, w której żyjemy, ale również daje szansę, by wymyślić ją na nowo. Zboczyć ze znanych opowieści, zabłądzić i obudzić się naprzeciwko budynku, którego wcześniej nie widzieliśmy.

Co XXI-wieczna literatura może powiedzieć o Kazimierzu? Jak go traktuje? Czy dzielnica Krakowa to główny bohater, zagubiona postać z drugiego planu czy raczej tło wydarzeń? Wymyśliśmy O_KAZ, żeby móc o tym opowiedzieć. Do drugiej edycji projektu zaprosiliśmy do współpracy Wita Szostaka, Julię Ain Krupa, Urszulę Palusińską i Michała Mądrackiego oraz poprosiliśmy ich, by potraktowali nasze pytania jako bazę, punkt startowy.

Wit Szostak – pisarz, z wykształcenia filozof. Urodził się i mieszka w Krakowie. Wydał 10 książek prozatorskich i kilka rozproszonych opowiadań. Autor m.in. *Oberków do końca świata* (2007), *Chocholów* (2010), *Dumanowskiego* (2011), *Fugi* (2012), *Wróżenia z wnętrzości* (2015), *Zagrody zębów* (2016). Jego powieści były nominowane do Literackiej Nagrody NIKE i Paszportów Polityki. *Dumanowski* doznał się adaptacji radiowej (reż. Jan Klata) oraz dwóch teatralnych (Narodowy Stary Teatr w Krakowie).

Festiwal Kultury Żydowskiej i kawiarnia Cheder powstały na krakowskim Kazimierzu, z inspiracji jego historią i kulturą. Bardziej niż świętem staramy się być procesem – procesem zmian w myśleniu i postrzeganiu żydowskiej kultury oraz zmian na samym Kazimierzu. Interesuje nas twórcza praca w dzielnicy i z dzielnicą, szczególnie że wydaje się ona dzisiaj nieco zagubiona i coraz mniej przyjazna mieszkańcom. O_KAZ to nasz nowy program literacki. Zapraszamy do lektury trzech opowiadań oraz na spotkanie z autorami.

Projekt jest
współfinansowany
ze środków Gminy
Miejskiej Kraków.



Organizatorzy:



Patroni medialni:



ISBN 978-83-946664-3-9